

ALOJZY LESZEK GZELLA

ur. 1932; Pelplin



Miejsce i czas wydarzeń	Warszawa, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Warszawa, II wojna światowa, okupacja niemiecka, powstanie warszawskie, szpital polowy, groby powstańców, Niemcy, powstańcy, żywność, warunki życia, strach,

Życie w czasie powstania warszawskiego

Kiedy wybuchł ten pożar w naszej harcówce to się oczywiście cały budynek zaczął palić. Uciekałem za takimi starszymi harcerzami na ostatnie piętro, tam okno zostało otwarte i trzeba było po zewnętrznej stronie, po takim gzymsie przejść kilkadziesiąt metrów do następnej oficyny. To się szło po tym gzymsie na czwartym piętrze trzymając się rynny, która była dosyć wysoka, dla małego chłopaka to na wyciągnięcie rąk naprężonych. Przechodziło się i dochodziło się do takiej facjatki, która była otwarta i tamtędy dostawało się do jak gdyby następnego budynku. Ci moi starsi koledzy tam przechodzili, a ja pewnie szedłem jako ostatni, bo najbardziej się bałem. Doszedłem do tej facjatki, ale nie mogłem się wciągnąć na rękach i właściwie tak stałem, a oni już do tych pomieszczeń przedostali się i już ich nie było. Zaczęłem wołać z pozycji uwieszonego na czwartym piętrze nieszczęśnika. Chyba ktoś kto tam w tej facjatce mieszkał, usłyszał to wszystko, wychylił się z kobietą jakąś i wciągnięto mnie na górę. Mój brat uciekał w drugą stronę i tam wyskakiwali z pierwszego piętra i z drugiego piętra na taki trawnik przed budynkiem. Poszedłem do domu i bałem się powiedzieć, że brat może zginął, a on wydostał się, gdzieś tam wyważyli drzwi i zauważył, że mnie nie ma. Kilka osób zostało zranionych, może nie poparzonych, ale poprzez te wyskakiwania z okien [połamali sobie ręce i nogi]. Tam na tej części podwórza był szpital polowy, tam ich od razu przenosili. Pamiętam, leżeli tam żołnierze niemieccy, jeńcy, którzy ulegli zranieniu. Oni leżeli na dworze na takich noszach albo wręcz na ziemi, poranieni strasznie, a myśmy tak na skrót przez ten teren szpitala polowego przechodzili do następnych budynków, a później pod ziemię do swojego domu. Wtedy widziałem pierwszy raz człowieka, który ma całkowicie roztrzaskaną głowę i ta czaszka jakoś rozeszła się i ten mózg tak pulsował. Do nas przyszedł, myślę, że już na początku powstania, taki pracownik kuratorium pomorskiego, pan Jasiek. On z synem przyszedł i u nas cały czas był, codziennie rano już o czwartej gdzieś chodził i wodę przynosił z kranów tych studni artezyjskich i

tak zawsze prosił: „Tylko niech pani tej wody nie zniszczy.”, żeby nie używać wody do mycia, bo przecież [po tę wodę] wystął i te dwa wiaderka przynieść gdzieś z ulicy Mokotowskiej tymi piwnicznymi przejściami, to było dramatyczne. Jego syn miał szesnaście lat, Janek miał na imię. On w którymś momencie związał się z jakimś oddziałem powstańczym i zginął tam. Ten ojciec chodził cały czas, przez naszą też pocztę szukał gdzieś tego syna bez rezultatu. Nie wiadomo gdzie zginął, gdzie został pochowany. Te cmentarze pojawiały się na podwórzach. Ciało jakoś zakopywano, nie zawsze na tabliczkach, [raczej] na tych kartonach zapisywano nazwiska, tylko pseudonim jakiś czy coś takiego. Tych grobów codziennie przybywało, codziennie ktoś kopał. Myślę, że te groby to tak cały czas nam towarzyszyły. Moja mamusia, jak już było to takie planowe burzenie ulicy Marszałkowskiej, siedziała w piwnicy z siostrą tą najmłodszą a my tam wybiegaliśmy. Ona się denerwowała co z nami, gdzie my. Tatuś tam gdzieś w tych swoich obywatelskich organizacjach coś działał, więc też wychodził, wieczorem [dopiero] się coś jadło. Myśmy mieli takiego znajomego, który pracował w firmie niemieckiej, która przewoziła drób z Generalnego Gubernatorstwa do Rzeszy. Tu był taki punkt pośredni, on tuż przed wybuchem powstania, podwiózł taką całą beczkę solonych indyków i to było jakąś podstawową potrawą przez ileś tam tygodni naszego jedzenia. [Jednak] nie było wtedy przecież chleba, później ziemniaków nie było, tak że to jakieś i obrzydzenie, i niechęć. [wzbudzało]. Jakaś kasza [tylko] była, od tamtych powstańczych czasów ja nie jadam kaszy. Któregoś dnia kanałami przedostał się do nas i w tym budynku szkolnym dostał zakwaterowanie, cały oddział ze Starego Miasta żołnierzy. Oni tak jak przyszli to padli na tej podłodze i zasnęli, tak zmęczeni byli. Oczywiście żadnych warunków dla zachowania higieny osobistej nie było. Tam były te ubikacje, ale przecież wody nie było i tak dalej. My dostaliśmy takie polecenie, żeby oczyścić broń, którą oni przynieśli ze sobą. Był tam starszy jakiś chłopak, który pilnował całości i trzeba było wziąć tę broń do oczyszczenia i położyć w to samo miejsce, bo ci spali, jak gdyby zupełnie bezwładni. Wtedy nauczyłem się rozkładać pistolet maszynowy. Była oliwka, mieliśmy szmaty i czyściliśmy, bo one były zapaskudzone wodą z kanałów, śmierdzące. Okna były pootwierane i to robiliśmy w pomieszczeniach obok gdzie ci AK-owcy spali. Parę dni to wszystko trwało. Pamiętam, że z jednego takiego zbiornika na amunicję, który się wkłada do pistoletu maszynowego wyskoczyła mi sprężyna czyli cały zapas tej amunicji był nie do użytku, bo ta sprężyna wciskała amunicję do lufy pistoletu. Tak wyskoczyła, że wyleciała przez okno, nie spodziewałem się tego, brak doświadczenia. Kiedy myśmy się zajmowali [tą bronią], jakieś zastępy w tym czasie pełniły służbę listonosza, ale nasz był wyznaczony do takich funkcji. Słyszeliśmy o [zbrodniach niemieckich na cywilach] od tych, którzy uciekali. [Także] od tych żołnierzy, którzy przyszli ze Starego Miasta. Mówiło się, że w szpitalu, wszystkich rannych zamordowali. Natomiast przypominam sobie coś takiego, tę naszą barykadę przy ulicy Piusa XI, któregoś dnia zaczął najeżdżać czołg niemiecki i przed tym czołgiem pędzono Polaków. Ja tego nie widziałem, bo byłem

jako listonosz gdzie indziej kiedy to wszystko się działo. Dopiero jak wróciłem po południu do domu to ci mieszkańcy mówili o jakiejś tragedii, która miała miejsce. Oczywiście ten czołg ani nie wybił tych gonionych ludzi, ani nie nacierał na barykady, ponieważ został unicestwiony butelkami, które rzucono pod czołg. Pewnie tam były jakieś ofiary, ale to z opowieści tylko znam, sam nie widziałem takich przypadków. Myślę, że były, cały czas mówiono o tym jak Niemcy krwawo rozprawiają się z Polakami gdy na nich natrafia. Śródmieście najdłużej znajdowało się w gestii AK-owców. Ono nie zostało właściwie zlikwidowane, Niemcy jeszcze nie doszli tutaj. Bardzo planowo burzyli tę stronę numerów parzystych na Marszałkowskiej, dom po domu, codziennie. Do 58, 56 nie doszło, ale 60 już zostało zniszczone, bomba tam padła, dom się zaczął zawalać, wiem, że w tej oficynie całej ściany nie było, było widać to mieszkanie, schody jakieś, ale do nas to jeszcze nie dotarło.

Myślę, że cały czas biegałem w tych samych butach i to były sandały raczej, bo te paski mi się urywały i próbowałem coś zszywać. Były kłopoty z tym obuwiem. Ubranie na pewno trzeba było zmieniać, ale nie pamiętam, żeby w tym czasie było jakkolwiek pranie organizowane. Myśmy na tym szóstym piętrze mieszkali i tam obok była taka jak gdyby suszarnia. To w tym czasie z tego nie korzystano. Pamiętam, że jakaś była detonacja gdzieś w pobliżu i całą tę piwnicę, w której przebywała moja mamusia, siostra i inni mieszkańcy zadymiono. Wszyscy wyszli i byli czarni na twarzy. Nie było warunków, żeby umyć się. Myśmy wodę, którą przynosił pan Jasiek, wykorzystywali, do miski wlewało się trochę wody do mycia i tam według kolejności, nie wiem jakiej, starszeństwa, każdy sobie oczy przemywał, ale nie było żadnej [większej] kąpieli. Może raz odbywała się jakaś taka kąpiel gdzie tej wody więcej było, żeby móc się wykąpać. Na podwórzach odprawiano msze, tłum ludzi [był], wszyscy płakali, byli zatopieni w modlitwie i wszyscy się bali czy przypadkiem nie padnie jakiś tam granat i nie zrobi spustoszenia.

Data i miejsce nagrania	2006-02-24, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Weronika Prokopczuk
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"